



WITOLD HORESZKO.

Zgasł „Lampion Karnawału”

Śnieg sypał...

Gdym przylepiwszy nos do chłodnej szyby zatonął oczyma w otchłaniach fioletowej, sylwestrowej nocy zawirował przedemną chaos ruchliwych, niezliczonych, migotliwych płatków...

Leciały z nieba na łeb na szyję całe szarańcze tych białych istotek ciche, puszyste, drżące, miliardami miniaturowych ciałek spadały na asfalt ulic i miasto całe obrastało, jak ptak olbrzymi ich srebrnym pierzem...

Z czwartego piętra wzrok mój spadł jak szyszka z choiny w czeluść ulicy...

Dołem pędziły dzwoniące, pobrzękujące saneczki, dołem snuło się długie pasmo postaci otulonych we futra i zawoje — tłum biegnących ku bramom sal reutowych Pierrotów, bajader i sewskich figurynek markiz o białych, pudrowanych perukach.

Sylwester...

Tu i tam grały na estradach i galeriach orkiestry, pisał po lśniącej posadzce rytm shimmy i jawy, przy stolikach tryskały fontanny szampana z odkorkowanych flaszek...

A ja nie chciałem się bawić...

Nie umiałem dotąd otrząsnąć się z szarego prochu rzeczywistości, codzienne troski zmurszałego żywota sączyły się we mnie, wsiąkały w moje nerwy i przywijały moje myśli do beznadziejnej monotonii obracającego się jednostajnie kieratu...

Jeszcze przed chwilą wpadł do mnie, jak pękająca bomba z hałasem mój przyjaciel w barwnym kostjumie wschodnim.

„Chodź ze mną — nagił. — Przecież to Sylwester, do stu pomarańczowych piorunów! Jak możesz gnić w tym zatęchłym, wiecznym tym samym pokoju — gdy tam w mieście ludzie szaleją, jak pijani tą dziką, djonizyjską nocą — powitania karnawału”.

„Idź sam — odpowiedziałem uparcie. Nie będę tańczył...”

„Idjota” — mrucał tamten wychodząc...

Chciałem rzucić weń książką leżącą przedemną na biurku, ale...

„Może ma rację... — pomyślałem — Z jego punktu widzenia jestem idjotą... Cały świat hula, a ja nurzam się w bezproduktywnej i śmiesznej melancholji...”

Ale mimo tych refleksji, nie poszedłem nigdzie.

Rozparty wygodnie w kołyszącym fotelu paliłem wonne cygaro.

Dym snuł się równiutko srebrno-błękitną tasiemką i rozplątywał w niewyraźny tuman w górze pod sufitem. Zapadałem zwolna w stan jakiegoś jakby odurzenia haszyszem. Bezgraniczne lenistwo nachyliło się nademną i oplątywało moje ciało w siatkę nawpółsenne nastroju...

Powietrze drgnęło — bo oto zewsząd poprzez mgłę narkotycznej ciszy dolatywać zaczęły głuche przeciągłe dźwięki, jakby gdzieś na placach chińskich i indyjskich miast, jacyś dziwni, wschodni ludzie bili w mosiężne gongi.

Zegary wydzwaniały dwunastą...

Raz, dwa, pięć, osiem, dziesięć, dwanaście.

Bum... bum!...

Dawno już przestały bić, a jeszcze powtarzały ich jęki tysiąckrotne, niezliczne echa... Zdało mi się, że to wszystkie dzwony starych ratuszów i wież kościelnych rozhuśtały się nagle i biją, grają, kolebią się w takt jakiejś niesłychanej, szalonej kołysanki... Głowę moją wypełnił po brzegi falujący, olbrzymi dźwięk, jakby alarm wstającej z martwych legendy.

Serce poczęło się tłuc w mych piersiach, nerwy moje rozdygotały się nagle, zbudziłem się jakby z bolesnego, smutnego odrętwienia i pierwszy radosny krzyk odezwał się w mojej głowie.

Karnawał...

Świat naokoło mnie tańczy, jak derwisz w szale, w zapamiętaniu, w dzikim entuzjazmie, sprężystymi skokami tygrysa... Dlaczegoż i ja nie miałbym tańczyć...

Po długiej, powłóczystej tasiemce dymu wędrującej aż pod sufit z mojego cygara zesunęła się zwinnie, jak małpeczka maleńka, kolorowa bajadera.

— Maharadzo! — krzyknęła ostrym, alarmującym głosem.

— Jestem...

— Piękny, wielki, wspaniały! Chodź ze mną! Twój gibki grzbiet przeży się do drapieżnych skoków w wir zabaw, twoje oczy płoną, jak latarnie dyszące rozkoszą Bombaju, twoje usta nabrzmiały pragną pocałunków kobiet, nogi drżą pożądaniem tańca... Chodź ze mną...

Spojrzałem w ogromne lustro.

Miałem na sobie lśniący od drogich kamieni i złota kostjum maharadzy. Na głowie jedwabny turban o srebrnym połysku skrzył się haftami diamentów. Dumnie i strzeliście wykwiłał zeń storczyk strusiego pióropusza przypiętego do zawoju beczenną agrafą... Kaftan wyszywany w przedziwne, niesamowite desenie. Pas z lamy złotej zawieszany buńczucznie u boku w ogromną kokardę i zwisający setką frenzli zakończonych wisiorkami z pereł. Na nogach szarawary. Stopy obute we wzorzyste pantofle o zakrzywionych nosach...

Jednym słowem — stałem przed nią, jak pyszny indyjski książę, „tygrys z Esznapura”, jak ów mściwy półbóg kobiet z „Indyjskiego grobowca”.

Ona z maleńkiej, miniaturowej figurki urosła przedemną i przeobraziła się w kobietę cudnej urody pobrzękującą kręgami siedmiokrotnych bransolet, w bajaderę o oczach bengalskiej pantery i ruchach sprężystych i miękkich, jak ruchy Kiplingowskiej Bagheery.

Ściany mego pokoju rozstały się uprzejmie...

Starzy, bronzowi Hindusi o długich siwych brodach siedzący półkolem na skrzyżowanych nogach grali na piszczałkach, bębenkach i fletach, a ośa poczęła tańczyć przedemną na misternie plecionych matach uderzając rytmicznie w złociste tamburino...

Welony rozwiały się naokoło jej ciała w mgłę świetlistą, ramiona wiły się jak węże połyskujące martwymi ślepiami pierścieni, a całe ciało rozkołysało się w czarowny pląs „Taniec światła” królowej Kaszmiru.

Muzyka stawała się coraz gwałtowniejsza, coraz dziksza, wściekle zawrotne tempo porwało tancerkę w delirium obłąkanych skoków, obrotów i wzlotów, a oczy moje nie mogły już wprost nadążyć za raptownymi, prędkimi jak myśl poruszeniami jej ciała.

Krzyknęła przeraźliwie i prawie omdlała padła w moje drapieżne ramiona... Sparzył mnie płomień jej rozpalonych warg, jak rozżarzona do czerwoności pieczęć, dłonie jej przebiegły po mnie dziwną, przemyślną pieśczęcią i przywarła do mnie, jak fala zmysłowej gorączki, jak smuga ciepłego aksamitu ocierając się o mnie gładką, jedwabistą skórą...

Oh, jak bardzo pokochałem moją cudną nieznaną bajaderę. Jakże nagle, jak w okamgnieniu stała mi się wszystkim — szczęściem i szaleństwem mojego życia...

„Zapał lampion, Kamadzi — zabrzmiął jej głos rozkazujący — a wtedy stanął przed nami, jakby zaklęciem wywołany z pod ziemi smukły, zwinny indyjski chłopiec z wielobarwnym, przepyszny lampionem na żółtej bambusowej trzcinie.

„Chodźmy —

„Wszędzie gdzie zechcesz książniczko!

„W świat, między ludzi — szaleć...

„A ten lampion czemu zapalić kazałaś, najmilsza?

„Radź, ten lampion to karnawał...”

„Karnawał?

„Tak panie! Dziś zapłonął... Będzie nam świecił przez cały czas naszego złotego, radosnego romansu z baśni. Będzie nam latarnią magiczną cudów i czarodziejskich złudzeń... Będzie nas upajał jak opium i odbijał przed naszymi oczyma jak zwierciadło, wszystkie rozkosze rajów... A kiedy światło jego pocnie żółknąć mętnieć i zamierać... to będzie znak, że czas na mnie?”

„Jakto? Mów jaśniej książniczko...”

„Gdy lampion karnawału zagaśnie, zagasnę i ja panie...”

„Odejdiesz? — i nie wrócisz?”

„Nie powiedziałam tego. Odejdę na rok cały’ ale może... powrócę...”

Rozsunęła kotarę.

„Oto świat... Chodźmy!...”

I rzuciliśmy się głową nadół, naoślęp, we wzburzony ocean karnawału...

Na wielkim, białym słoniu zdobitym na cesarzu Sjamu, wjeżdżaliśmy w ulice wszystkich stolic Europy. Ja na karku między dwoma wachlarzami uszu, ona w świetlanym, obwieszonym klejnotami palankinie. Słoń trąbiąc potężnie stapał uroczysto wśród mrowia rozentuzjazmowanych tłumów, a za nami na dzwoniących uprzężą rumaków szczekała kopytami po bruku nasza bajeczna świta... Nadzy, kędzierzawi murzyni biegli w takt bębenków z pochodniami w rękach i stawali w dwurzędzie przed bramami tanecznych gmachów... Wchodziliśmy na sale balów i redut witani oklaskami i salwą powitalnych okrzyków...

Damy w lekkich fantasmagorjach wieczorowych strojów, dżentelmeni w czarnych frakach i lśniących, porcelanowo białych gorsach, otaczali nas tłumnie...

„Skąd? kto? jak?” — zapytywali ciekawie.

Ale dumne milczenie było im odpowiedzią...

Mali Malajczycy usługiwali nam i podawali mokrą w cudnie malowanych filiżankach... Piliśmy — a potem, gdy muzyka zagrała na sali rozpoczynał się poemat plastyki i harmonji — nasz taniec... Tańczyliśmy, jak para nieziemskich wirtuozów — a ludzie patrzyli z zapartym oddechem i wytrzeszczonymi oczyma na to zjawisko...

Potem oddaliliśmy się, znikając jak sen i pozostawiając po sobie atmosferę czarodziejskiego oblędu. Przez wszystkie stolice kontynentu przepływał ulicami nasz lampion Karnawału, a gdzie ukazał się, wybuchał ruch zabaw i krzyk orkiestr, a ludzie poczynali spoglądać przez różowe szkła na życie...

Paryż, Londyn, Neapol, Nicea — etap za etapem mijała nasza zapustna karawana czarów. Świat parował rozgrzanym aromatem ogrodów Szeherazady i przemienił się w baśń skrzydlatą...

Aż raz...

Pewnego razu — pewnej nocy...

Gdy rozbił się tysiącem światła olbrzymi festival urządzony na naszą cześć w Barcelonie, a ramiona moje wyciągnęły się, by porwać moją kaszmirską księżniczkę w wir tańca — ujrzałem, że najdroższa moja ślania się i blednie...

„Co to? — zawołałem przerażony...”

„Nic. Lampion gaśnie. Obejrzyj się maharadzo...”

Spojrzałem poza siebie.

Istotnie — gasł nasz „Karnawał” wiszący na żółtej, bambusowej trzcinie...

„Ludzie, na Boga! Ognia! — wrzasnąłem porwany panicznym strachem.

Biegli ku mnie zdziwieni, nierozumiejący, głupi...

„Ognia, światła, pochodni, do stu czerwonych djabłów! Czyż nie widzicie, że gaśnie — że podsyć go trzeba...”

„Kto, kogo? poco? — zapytywali się nawzajem, mrugając bezradnie ślepiami. — O kim on mówi?”

„Ależ lampion, nasz lampion kona...”

„Kona? Kto kona? Doktora — wołali ci idjoci...”

A księżniczka zachwiała się i upadła bezsilnie...

„Aaa! aaa! — rozległ się mój szloch straszliwy po ogromnym placu... — Nie odchodzi! Nie zostawiaj mnie tak księżniczko...”

„Maharadzo, panuj nad sobą — szepnęła mi zdławionym głosem do ucha, gdym ją porwał na ręce zamierającą, jak kwiat podcięty i bladą jak chusta.

„Maharadzo, mój czas się zbliżył... Karnawał powołał mnie do życia, razem z Karnawałem ginąć muszę. Myśl o mnie i kochaj. — Za rok, do widzenia...”

Lampion zgasł...

Księżniczka przemieniła się w obłok srebrzysty i odleciała na księżyc...

Karnawał minął...

Popielec zastał mnie pogrążonego w okropnych wybuchach żalu i we łzach dzikiej rozpacz...

Nic dziwnego.

Przecież pokochałem bardzo moją cudną indyjską księżniczkę.

